

Propagandowa klęska III RP

21 lutego 2024

Kilka lat temu obdarzony subtelnym poczuciem humoru znajomy, po kolejnej buńczucznej i paranoicznej wypowiedzi polskiego polityka powiedział: „Zaczynam myśleć, że chyba na serio to my wywołaliśmy II wojnę światową”.

Niestety, to co wówczas traktowaliśmy jako przejaw czarnego, ale jednak humoru, w wywiadzie Tuckera Carlsona z Putinem przybrało zupełnie inny wymiar i nabrało groźnego politycznego sensu. Rosyjski Prezydent stwierdził nie tylko wbrew oczywistym faktom, że w brutalny sposób polonizowaliśmy Ukraińców i to od XIII wieku (kto by się tam przejmował datami, ten lapsus wywołał nawet zdziwienie prowadzącego wywiad z ogromną klasą i profesjonalizmem Tuckera Carlsona), nie tylko, że kolaborowaliśmy z Hitlerem i razem z nim dokonaliśmy rozbioru Czechosłowacji, ale że de facto to my wywołaliśmy II wojnę światową, odrzucając rozsądne propozycje Hitlera umożliwiające wygodne połączenie Niemiec z Prusami Wschodnimi.

Niemieccy słuchacze mogli mianowicie usłyszeć, że to nie Polacy powrócili w 1945 roku na stare, piastowskie ziemie i że nie stało się to po wymordowaniu przez Niemców kilku milionów Polaków i polskich obywateli pochodzenia żydowskiego, ale że dostaliśmy ziemie niemieckie w prezencie jako rekompensatę za utracone kolonie na wschodzie, gdzie od wieków gnębiliśmy Ukraińców. To był jednak dopiero wstęp do tego co stanowiło clou przekazu do niemieckich partnerów. Godzinę później Putin stwierdził, że po wysadzeniu Nord Stream paliwo mogłoby do Niemiec wędrować przez Jamał, ale Polacy go zamknęli i Prezydentowi trudno zrozumieć, dlaczego Niemcy się na to godzą, bo przecież Polacy dostają pieniądze z UE, a to Niemcy są w UE największym płatnikiem i w pewien sposób „karmią” Polskę. Nie wdając się w historyczne spory i sprostowania, trzeba stwierdzić, że taki łatwy do odszyfrowania rosyjski

przekaz do Niemców jest dla Polski niezwykle groźny, bo najpierw przedstawia nas jako sojuszników Hitlera, a nawet gorszą, bo bardziej wojowniczą część tego sojuszu, a potem kieruje przekaz do Niemiec, którego główną ideą jest konieczność przywołania do porządku tego awanturniczego tworu, który zajmuje dawne niemieckie ziemie i odpowiada za obecne kłopoty niemieckiej gospodarki.

Oczywiście na taki cios polska klasa polityczna, a dokładniej to wszystko, co się za polską politykę zagraniczną podaje, zapracowało sobie przez ostatnie ponad trzy dekady. Wystarczy wspomnieć żenujące i wręcz chamskie zachowania dziennikarzy i dziennikarek, pieniactwo paranoicznych rusofobów, bolesne ranienie rosyjskiej pamięci o poległych w drugiej wojnie światowej, upokarzanie i poniżanie rosyjskich sportowców, artystów i Rosjan jako takich, aż po uwłaczające człowieczeństwu rehoty po masakrze w Biełanie czy zamordowaniu Darii Duginy. To wszystko prawda, tak jak prawdą jest, że jako Polacy stosunkowo pokornie znosimy, że tacy osobnicy nas na świecie reprezentują. I dlatego nie ma sensu owijanie w bawełnę faktu, że także jako Polacy czy chcemy tego, czy nie chcemy, zostaliśmy tym wywiadem i przekazem, jaki na nasz temat otrzymał świat, upokorzeni. Światu przedstawiono nas jako naród, wspólnotę w fałszywym i celowo złym świetle, a my jesteśmy wobec tego bezsilni.

Jednak w odróżnieniu od bezrozumnego, sterowanego z zewnątrz drażnienia i upokarzania Rosji, jakie uprawiała polska klasa polityczna, to poniżenie i zohydzenie Polski, jakiego dokonał rosyjski Prezydent, miało polityczny sens. Polska rusofobia była przez poważnych polityków na świecie lekceważona jako nieco żenująca i chroniczna przypadłość, ale sposób i skala uderzenia, jakiego dokonał Putin miały zupełnie inny kaliber. Reakcje na ten cios mają trojaki charakter. Rusofobi wszelkich barw pęcznią z dumy, że oto ich wysiłki zostały zauważone i otrzymali paliwo do intensyfikacji swojej retoryki streszczającej się w powiedzeniu „patrzcie, jak ukrzywdził nas

wróg, jak on mógł, jak on mógł", musimy kupić więcej broni i dać ją Ukrainie. Pytanie, po co robili Polsce wroga z sąsiedniego mocarstwa, jest jak u wszystkich cierpiących na kłopoty godnościowo-nerwicowe neurotyków, niedopuszczane do świadomości.

Jest jednak druga reakcja, z którą także nie należy się godzić. To próba łagodzenia polskiej części przekazu Putina połączona z niezwykle brutalną krytyką własnego kraju i jego historii. Z internetowych wpisów po tej stronie opinii publicznej można odnieść wrażenie, że w gruncie rzeczy Putin miał rację, sanacyjna Polska to hitlerowscy kolaboranci, a Stalin czasami łamał prawa człowieka, ale jak powiedział Putin tylko „w opinii niektórych”. Takie samobiczowanie po propagandowej klęsce przypomina typowe dla polskiej psychiki politycznej miotanie się ze skrajności w skrajność. Dużo pisał o tym Aleksander Bocheński, ale i bliski naszym sercom Roman Dmowski zwalczał nie tylko powstańcze szaleństwa, ale i zbytnią spolegliwość polskich konserwatystów wobec potężnych sąsiadów i zaborców.

Nad tymi obiema rodzajami reakcji unosi się jeszcze trzecia, chyba najbardziej oburzająca moralnie, a politycznie wręcz katastrofalna. To odpowiedź polskiego MSZ, nie tylko, że mętna, pozbawiona klasy, ale co znacznie gorsze, mieszająca polską politykę historyczną z polityką historyczną Ukrainy, a więc kraju, który swoją tożsamość opiera na fałszu i gloryfikacji ludobójców Polaków, bo jak twierdzą polscy ukrofile tak się pechowo w historii Ukrainy złożyło, że innych wzorców Ukraińcy nie mają. To duży krok na drodze do pogodzenia się z ukraińską narracją, według której masowe ludobójstwo i nabijanie polskich dzieci na widły, to jedynie zagmatwany spór między sąsiadami, jakich w historii wiele. Aż dziw bierze, że Radosław Sikorski nie sprostował jeszcze słów Putina, który, co też wypada wspomnieć, kilkukrotnie przypominał ukraińskie zbrodnie na Polakach. Szczęście w nieszczęściu jest fakt, że wypociny warszawskiego MSZ

przeczytają tysiące, co też dobrze oddaje jego możliwości w porównaniu do idącej w setki milionów widowni Putina.

Nie może być naszej zgody na rusofobię i na obłądną, sprzeczną z polskim interesem narodowym politykę rodzimej klasy politycznej, ale nie może też być zgody na poniżanie Polski jako takiej i fałszowanie naszego obrazu, nie tylko dlatego, że to dla nas bolesne. Jeżeli nawet ktoś uzna, że problemy Warszawy to nie jego sprawa, to powinien pamiętać, że jest to politycznie szkodliwe dla nas wszystkich, czy się to nam podoba, czy nie. Oczywiście nasuwa się w tym miejscu refleksja, że ta wojna propagandowa, która na polskim i nie tylko odcinku frontu właśnie zakończyła się rosyjskim blitzkriem, może być uznana za przedsmak tego, co by się stało, gdyby polskiej klasie politycznej udało się wywołać wojnę prawdziwą. Do czego by doszło gdyby wojskowi kalibru naszych medialnych generałów zderzyli się z rosyjską machiną wojenną poza ekranem telewizora czy internetu.

Wielu komentatorów wyrażało opinie, że lata bezsensownego drażnienia, obrażania, szkodzenia Rosji kosztem własnych polskich interesów nie wywierają na Moskwie wrażenia i że są tam niezauważane albo lekceważone. Nie były, bo jak powiedział kiedyś Georges Clemenceau pytany o możliwość odzyskania przez Francję Alzacji i Lotaryngii: „Nie mówimy o tym nigdy, myślimy o tym zawsze” – to znaczy, że dojrzała polityka umie czekać na swój czas i okazję. Putin wywiadem Tuckera Carlsona udzielił w tej dziedzinie bezlitosnej lekcji nieodpowiedzialnym, ale i zadziwiająco nieudolnym politykom znad Wisły. Tym razem polska klęska była tylko czy aż propagandowa, ale dla takiego kraju jak Polska, to jak jesteśmy postrzegani w świecie, ma znaczenie i ma polityczne konsekwencje. Dlatego, póki jeszcze czas, należy tym bardziej wzmocnić wysiłki zmierzające do tego, by polska opinia publiczna zaczęła myśleć i obecną klasę polityczną wysłała hen daleko, najlepiej do jakiegoś współczesnego odpowiednika Zaleszczyk, zanim porządek u nas zaczną wspólnie robić Niemcy, Rosja i gloryfikująca Bandere

Ukraina.

Autorstwo: Olaf Swolkień

Źródło: MyslPolska.info